

# TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Michał Choromański  
Marjan Hemar  
Józef Miłobędzki  
Bolesław Pomian  
Kazimierz Wierzyński  
Stefan Włoszczewski

Vol. 3. Nr. 7. (112) Nowy Jork, 18go lutego — New York, 21. N. Y., February 18th, 1945

Cena 20 ct.

## Wobec gwałtu, nieznanego historii

Po pięciu latach walki w obronie wolności świata, podjętej samotnie, a później prowadzonej z nierównanem przez żaden naród bohaterstwem u boku Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych — po czynach wojennych Armji Polskiej, która tak hojnie przelewała i przelewa swą krew dla oswobodzenia uciemiężonych narodów, po tem kiedy w nieubłaganej walce podziemnej padło pięć milionów Polaków, po powstaniu Warszawy, która zdana na samotną dwumiesięczną walkę, zamieniona została w kupę gruzów — Polska oddana zostaje w nową straszliwą niewolę, grożącą zgubą biologiczną naszemu narodowi i zniszczeniem tysiącletniej kulturze polskiej. Taki jest sens istotny decyzji powziętych w Jaltcie, pod któremi Stany Zjednoczone i Wielka Brytania położyły swój podpis.

Rzekoma niepodległość połowy polskiej ziemi, rzekomy rząd polski, zależny przecież od Moskwy — są tylko zamaskowaniem tej prawdy i upozorowaniem w oczach świata dokonanego na nas gwałtu, nie mającego sobie równego w dziejach.

Niema człowieka honoru, niema człowieka sumienia, który, zdawszy sobie sprawę z nierównanej walki Polaków, z poniesionych przez Polskę dla wspólnej sprawy ofiar i z losu, który ją teraz spotyka — mógłby zawahać się w ocenie tego, co się stało.

I niema Polaka godnego tego miana, w kraju i poza krajem, niema żołnierza polskiego, niema matki Polki, myślącej o losie swych dzieci, którzyby kiedykolwiek przystali na tę przemoc niebywałą, na to pohańbienie wolności i sprawiedliwości i nie przysięgli sobie w tej chwili, że będą walczyć przez całe życie o Polskę całą i niepodległą i że jeśli w tej walce zginą przekżą jej hasło tym, co przyjdą po nas.

Prawowity Rząd Rzeczypospolitej nawet pozbawiony możliwości wykonywania swej władzy pozostał dla nas władzą moralną, reprezentującą siły rzeczywiste, jakiemi są wola i ideały narodu polskiego i niepokalna czystość naszej sprawy.

Wola narodu polskiego jest jasna i nieugięta, zaświadczona milionami trupów tych, co padli walcząc o wolność i całość Polski i o godność człowieka.

Walka, którą wszyscy Polacy, gdziekolwiek znajdują się na świecie, podejmują teraz — jest bardziej niż kiedykolwiek walką o wolność całego świata. Fala barbarzyństwa, której wielkie demokracje otworzyły dziś tamę, poświęcając Polskę — jeśli te demokracje się nie ockną — zaleje świat cały.

Z poczucia iż sprawa nasza jest sprawą całego wolnego świata — właśnie czerpiemy wiarę w ostateczne nasze zwycięstwo.

Przez sto przeszło lat niewoli, przez pięć lat nieprawdopodobnej walki podziemnej naród polski wyhartował w sobie jak żaden inny — zdolność opierania się przemocy, ufność bezmierną w swe siły i cierpliwość w czekaniu na odmianę losu.

Te wszystkie swe siły musimy skupić teraz aby naszą walkę prowadzić dalej, nieugięcie, wszelkimi dostępnymi nam środkami.

Przykład naszych rodaków, którzy oddali życie za wolność, myśl o męczeństwie tych nad któremi roztoczyć ma Rosją swą "opiekę", niech każdemu z nas nieustannie przyświeca, niech każe zapominać o sobie, znosić męźnie udręki tułaczki i obojętność świata.

Przejęci zgrozą wobec tego co się stało, ale dumni, że jesteśmy Polakami, wołamy:

"Niech żyje Polska cała, wolna i niepodległa"!

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

*Na rozwiązanie Armji Krajowej*

Za dywizję wołyńską, nie kwiaty i wianki —  
Szubienica w Lublinie, Ojczyste Majdanki.

Za sygnał na północy, bój pod Nowogródkiem —  
Długi urlop w więzieniu. Długi i ze skutkiem.

Za bój o naszą Roszę, Ostrą Bramę, Wilno —  
Sucha gałąź lub zsyłka na rozpacz bezsilną.

Za dnie i noce śmierci, za lata udręki —  
Taniec w kółko: raz w oczy a drugi raz w szczęki.

Za wsie spalone, bitwy, gdzie chłopska szła czeladź —  
List gończy, tropicielski: dopaść i rozstrzelać.

Za mosty wysadzone z ręki robotniczej —  
Węszyć gdzie kto się ukrył, psy spuścić ze smyczy.

Za wyroki na katów, za celny strzał Krysta —  
Jeden wyrok: do tury. Dla wszystkich. Do czysta.

Za Warszawę, Warszawę, powstańcze zachcianki —  
Specjalny oddział śledczy: "przyłożyć do ścianki".

.....  
Zwinąć chorągiew z masztu. Krepą jest zasnuta  
Za dywizję Rataja, Okrzei, Traugutta.

Pociąć sztandar w kawałki. Rozdać wśród żołnierzy,  
Na drogę niech go wezmą. Na sercu niech leży.

8 lutego 1945



*Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Władysław Raczkiewicz  
i prezes Rady Ministrów Tomasz Arciszewski*

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

# PAMIĘTNIK KANADYJSKI

PONIEDZIAŁEK: —

— Szuka pan czytelnika? Szuka pan zrozumienia i poparcia szerokich mas uchodźstwa? Nie łatwiejszego! Niech pan wymyśla na rząd. A jeszcze prościej — niech pan wymyśla na nasze urzędy i placówki.

— Jakżeżbym śmiał?

— Kiedyż nie odwagi na to potrzeba ale pokory. Niech pan ulegnie woli uchodźstwa, idzie z duchem czasu. Bo nie sądzę, żeby chciał pan świadomie oderwać się od środowiska? Wtedy czeka pana niepamięć. Stanie się pan społecznym nieużytkiem.

— Czy nie ma jednak innych... łagodniejszych tematów?

— Są. Ale po co ma pan robić sobie wrogów? Poruszy pan jakieś zagadnienie i od razu rozłam: Jedni twierdzą że tak, inni — że nie, a wszyscy razem huzia na pana! Bo niby to wszystko pańska winą. Co innego, jeżeli stuknie pan jakąś urzędową placówkę. O, wtedy każdy pana poprze. Jest pan naszym człowiekiem. Solidarność. Jednolity front domowy.

— Naprawdę, pan mnie przeraża.

— Trzeba się zdecydować: czy jest pan dzieckiem, czy też uchodźcą? Bo tylko dziecko małe nie wie, że wszyscy cywile znajdujący się poza Krajem, dzielą się na dwa obozy.

— Dzielą się? Gdzież ta jednolitość, o której pan wspomina?

— Chwileczkę... dzielą się na dwa obozy: szara masa uchodźstwa z jednej strony i nasze urzędy z drugiej. I jeden i drugi obóz stanowią jednolita zwarta całość. Zabarykadowani w swych biurach, mężnie i ofiarnie twują urzędnicy. Są w mniejszości, ale posiadają broń doskonalszą. Hełmy zdobią ich głowy. Wokoło Linia Raportu. Tam i ówdzie gniazda praw i przepisów.. Poprzez drut kolczasty papierowej zapory, poprzez dymną zastłonę formalności, przedzierają się odważnie uchodźcy.. Trzymając w zębach noże, czołgają się na łokciach.. Są coraz bliżej... Oto zaraz z krzykiem rzucą się na dzielnie broniących się biurokratów... Oto eksplozja gniewu... Oto zaraz pocieknie z rany żółć i atrament!..

— Dosyć! czy pan nie przesadza?

— Pewnie, że przesadzam, ale czy nie wolno się kochać w batalistycznych pejzażach?. Szkoda, że nie nęca pana wawrzyny pisarza batalisty. Pamiętaj pan u Stendhala opis Waterloo?... Więc co pan na to?..

— Dziękuję, ale nie. Zawsze lubowałem się raczej w podróży wewnętrznych. Psyche ludzka. Pejzaże duchowe...

— Ba! mała rzecz... Tam dopiero zobaczy pan prawdziwą wojnę. Dusza ludzka to najgorsza V bomba. Ogniomiotacz. Iperyty.

— Znowu przesada.

— Co to, to nie! Przypuszczam... Sam mam duszę i wiem co to znaczy. Okropieństwo. Okrucieństwo. Hipokryzja. Wstręt... Co? Już pan odchodzi? Coś pana zraziło? Powiada pan, że nie szuka taniej popularności? A ja panu powiem — to nie skromność przez pana przemawia, ale pycha.

WTOREK: —

— Więc spotkaliśmy się jednak znowu? To doskonale. POCO mielibyśmy się kłócić. Podajmy sobie ręce. Uchodźca z uchodźcą dogada się zawsze. Zwłaszcza gdy chodzi o naszych urzędników..

— Pan wkółko to samo.

— A właśnie, że nie. Mówiliśmy wczoraj o duszy. Czy zaglądał pan kiedy do duszy urzędnika? Co w niej pan zobaczył?

— Lojalność.

— Owszem. A co więcej?

— Entuzjazm.

— Znowu pan nie zgadł!

— W każdym razie, jeśli idzie panu o serwilizm to serwilizmu nie widziałem. A nawet wypraszam sobie stanowczo jakiegokolwiek aluzje na ten temat. Nie widziałem. Ani cienia.

— Ależ, panie drogi, pan mnie nie zrozumiał. Bo jakżeż można! Ja też nie.. Ja też nie widziałem. Ani cienia. Bo niby skąd?

— Otóż to, skąd.

— Coprawda inni pwiadają, że to pozostawość zaborów...

— Gdzież znowu! Wymietliłmy.

— Pewnie, że się wymiotło.

— Więc serwilizmu nie ma.

— Jasna rzecz.

— Więc gdyby, dajmy na to przełożony, mający o tym lub owym zagadnieniu w terenie swoje zdanie spotkał podwładnego, który dajmy na to dania tego nie podziela: to co podwładny powiedziałby przełożonemu?

— Powiedziałby: przykro mi bardzo, ale poczuwam się do obowiązku zameldować, że sprawa ma się inaczej.

— No widzi pan. Przecież nie powiedziałby: tak jest! Padam do nóg. Sprawa przedstawia się tak, jak tego sobie pan życzy. Nie powiedziałby, nieprawdą?

— Pewnie, że nie.

— No widzi pan... Pan znowu się spieszy do domu. Tym razem jest pan jakiś zgnębiony. Co się stało? Przecież nie trapią pana wątpliwości?..

TYGODNIK POLSKI

is  
PUBLISHED WEEKLY

by  
TYGODNIK POLSKI

at  
806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.  
Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 80 cents

Half yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter  
April 2, 1944 at the post office  
at New York 1, New York, under  
the Act of March 3, 1879"

ŚRODA: —

— Teraz to ja panu zadam pytanie. Czy ktoś kiedy panu przeszkadzał?

— Jakto?

— A więc przypuśćmy, usiadł pan do biurka i zamierza nalepieć znaczki do albumu. Albo pan ma inną pilną pracę. A tu nagle otwierają się drzwi i ktoś wchodzi: "Jak się miewasz? Nie przeszkadzaj sobie. Ja tylko na chwileczkę, co słychać?" Zaledwie zatrzasnął pan za nim drzwi, a tu puka kto inny. "Można? Cacy, cacy, widzę że jest pan zajęty. Ie chyba panu nie przeszkadzam. Z dzieś się minut sobie posiedzę i pójdę. Jak się pan miewa?" I tak wkółko. Coby pan zrobił?

— Posłałbym ich do djabła.

— Słusznie. Tylko to żadna sztuka, skoro jest pan prywatnym człowiekiem. A gdyby pan był urzędnikiem? Co wtedy?...

CZWARTEK: —

— Jestem bardzo powolny, dopiero dziś zrozumiałem dokąd pan zdąży. Ale jest pan w błędzie. Bo urzędnik nie ma prawa! Urzędnik to istota społeczna.. Urzędnik to to samo, co lekarz!.. Czy wolno lekarzowi kręcić nosem i wybierać chorobę, która mu się podoba.. A która nie — to tej nie leczy! Czy wolno mu źle się odnosić do pacjenta, bo rana wygląda nie estetycznie? Lekarz wie, że fach jego wymaga poświęceń! Urzędnik winien wiedzieć o tem również.

— Słusznie. Ale czy był pan kiedy w przychodni? Widział pan jak wygląda dzień ordynacyjny lekarza? Ież to rozkapryszonych pań przewija się przez gabinet ambulatoryjny, pań, którym nic nie dolega, nic nie brakuje, a które na gwałt doszukują się w sobie choroby. Czy wie pan, co uczciwy lekarz w takich wypadkach robi? Krzyknij! Bo wie, że skrzyczeć histe-

ryczkę, to to samo co dać jej bromu. A czy mało jest takich panów, co to radzi przyjsć do przychodni, bo bezpłaćna: i zamiast wyjść z wdzięcznością i poniekąd zaktopotaniem, demerwują się, narzekają że ich nie tak przyjęto, jak należy, bo choroba, tylko ich choroba jest najgorsza i najważniejsza...

— Szkoda że jest pan po drugiej stronie barykady. Trudno się nam dogadać.

PIĄTEK: —

URZĘDNIK — Jestem bardzo zajęty. Na jutro trzeba przygotować zestawienie miesięczne, nie mówiąc o raportach, jakie mam napisać dzisiaj. A co najgorsza, jestem sam, sam jak palec. Nikt mnie nie lubi, bo jestem urzędnikiem. Nikt ze mną nie jest szczery, bo jestem urzędnikiem. Czuję się, jak bogata kobieta, która zatraciła wiarę w bezinteresowną miłość. Wszyscy szukają jej ręki, bo na niej brylanty. Ale przynajmniej ma brylanty. A ja? Żyję z pensji... Przedtem było nas pięciu, teraz tylko ja i szef. Ale i on mnie nie rozumie. Nikt mnie nie rozumie. Chyba Choromański. Były czasy, gdy witaliśmy każdego petenta z rozwartym ramionami. Zjawiał się takowy raz na tydzień. Ale wówczas nie musiałem sam sprzątać, sam kupować gazety, sam przepisywać, rachować, drukować, szyć, kopjować, meldować, załatwiać i nie załatwiać... A teraz sam, wszędzie sam. Sam i sto petentów. Całe szczęście, iż dziś leje jak z cebra. Może nie będzie takiego natoku. I to się nazywa życie... Ale niema rady, rachujemy dalej... Siedem i czterdzieści jeden... i (pisze. Pukanie do drzwi)... Proszę!

PETENT (wchodząc) Dzień dobry. Ależ pogoda!

URZĘDNIK (z żalonym uśmiechem). Dzień dobry. Miło nam pana zobaczyć.

PETENT. — A pan wciąż coś pisze? Panu właściwie dobrze się będzie. Siedzi pan sobie za biurkiem, a za oknem leje...

URZĘDNIK — Czem mogę panu służyć... dwadzieścia osiem i dziewięć...

PETENT — Zaraz, zaraz, proszę pana, pomaleńku. Przecież do swego urzędu przyszedłem, mam prawo trochę obesznać. Żelówki mi się porwały, but przecieka...

URZĘDNIK — Trzydzieści siedem... trzeba do szewca...

PETENT (wybucha) — A jak ja go znajdę, za przeproszeniem? Od czasu jak z Francji wyjechałem w 40 roku, ani jednego porządnego szewca nie widziałem. Wczoraj cały dzień szukałem po mieście. Niema jak na lekarstwo. Tylko maszyny!

URZĘDNIK — Są, panie. Dam panu adres.

PETENT — Pomaleńku, proszę pana. Co mi po adresie, kiedy ja i tak wszystko jedno nie rozumiem. Niech pan lepiej po ludzku, rączką pokaże, gdzie iść, a któredy skręcić. Albo plan proszę narysować... (Urzędnik cierpliwie wstaje i coś rysuje na skrawku papieru. Bez pukania wchodzi petentka).

PETENTKA — Dzień dobry kochanemu panu, wiem że jest pan zajęty, dużo czasu nie zabiorę. Szukam książki o Guziku. Nie ma pan? No jakżeż tak można. Od czego panowie są? Spotkałam cudzoziemców, którzy zajmują się spirytyzmem, a propos czy wierzy pan w inkarnację? Pytają się, czy u nas był spirytyzm? Aż się obrażam. Jak to nie był? I jeszcze jaki! Pomyślałam, będzie dobra propagandą, jeśli dam im w prezencie jakąś książkę. Ale skoro pan nie ma o Guziku, to może jakąś inną? Co.. Przecież ja do PIC'u w tej sprawie pisać nie będę! To wasza sprawa... Właśnie! Mówię „sprawa” i przy-

pniałam sobie o pani X. Czy wie pan, co ona na mnie wygaduje? Przykro nawet powtórzyć. Czy nie mógłby pan zaingerować... bo ja nie pozwolę nie dopuszczać....

(Urzędnik łapie się za głowę, odwraca się do ściany i bezdźwięcznie płacze).

SOBOTA: —

— Nie przekonał mnie pan swoim wczorajszym dialogiem zmyślonym.— Pewny jestem, że i czytelnik, którego pan bezskutecznie szuka, nie będzie zadowolony. Bo przecież czytelnik, to petent, mógł go pan zrazić. Chyba, że zrezygnował pan ostatecznie z popularności, zaczął pisać dla wybranych. Dla urzędnika. Niech się pan lepiej zapyta tam i ówdzie, co ludzie o tym myślą. Chce pan spytamy razem... Oto idzie nasza znajoma pani. Dzień dobry pani.

PANI: — Dzień dobry panom.

MY: — Co pani myśli o naszych urzędnikach i urzędach?

PANI (z lekliwym zdziwieniem)— A skąd panowie o tym wiedzą?

MY — O czym?

Pani — No o tym śnie? O tym potwornym śnie, co mi dziś przez całą noc nie dawał spokoju... Przysniło mi się, że jak zawsze z rana poszłam do naszego biura, coś załatwić. Przychodzę. I cóż? Dom stoi. Te same drzwi. Okna. Wszystko takie same. A biura nie ma. Myślałam, że się pomyliłam, może na innym piętrze. Biegnę po schodach, tam i nazad — nie ma! Zaczęłam krzyczeć, ale — jak to we śnie — głosu wydobyć nie mogę!... Obudziłam się w zach.. Stara jestem, proszę panów, lepiej może od was pamiętam te czasy, kiedy żadnego naszego urzędu nie było, wiem co to znaczy. Niestety krótką mamy pamięć, grzech doprawdy... O!... co to? Dlaczego pan mnie całuje po rękach? Przecież ja nic takiego nie powiedziałam?...



*Żołnierze naszego Drugiego Korpusu we Włoszech obdarowali nas Gwiazdkę dzieci włoskie. Oto podarki, wśród których nie brak ani przedmiotów niezbędnych, ani słodyczy, ani zabawek.*

STEFAN WŁOSZCZEWSKI

## W K Ł A D P O L O N J I

## II. KULTURA POLSKO-AMERYKANSKA

*Pierwsza część dyskusji z uczonym amerykańskim poświęcona była zagadnieniu obciążeń natury społecznej, z jakimi przybywał do Ameryki emigrant polski. Rozdział ten był więc zatytułowany: "HANKA PRZYBYSZÓW Z POLSKI". Dzisiejszy fragment wymiany zdań na temat OCENY WKŁADU GRUPY POLSKIEJ do skarbnicy cywilizacyjnej narodu amerykańskiego dotyczy już innego zagadnienia. Dlatego dajemy mu tytuł: "KULTURA POLSKO-AMERYKANSKA".*

S. W.

JA — Gdybyśmy spróbowali podsumować opinie, jakie ustaliły się w Ameryce o cechach i zaletach ludności polskiego pochodzenia i chcieli je wyrazić następnie w kilku lapidarnych zdaniach, to prawdopodobnie powiedzielibyśmy o Amerykanach polskiego pochodzenia, że są, naogół biorąc:

dobrymi żołnierzami  
dobrymi robotnikami  
uzdolnionymi do rzemiosła  
szczególnie predystynowanymi do rolnictwa  
dobrymi rodzicami  
lojalnymi i rzetelnymi ludźmi  
głęboko religijnymi  
skłonniymi do zainteresowań ideowych.

ON — Zgadza się na tę ocenę, którą podał Pan w spopularyzowanej formie i podpisuję się prawie bez zastrzeżeń pod temi wszystkimi opiniami. Ale co Pan rozumie pod "skłonnością Amerykanów polskiego pochodzenia do zainteresowań ideowych"?

JA — Rozumiem pod tem instynkt czy dar, dzięki któremu przybysze z Polski potrafili wznieść monumentalny Gmach Społeczny, zwany w tutejszym potocznym języku "Polonią Amerykańską", a co odpowiada całkowicie **socjologicznemu** terminowi: "Grupa polska ludności amerykańskiej".

ON — Po tem wyjaśnieniu podpisuję się i pod tą ostatnią opinią, ale odkładam niektóre uwagi krytyczne do specjalnej dyskusji nad oceną wartości dla Ameryki poczynań czysto społecznej natury przybyszów z Polski i ich potomków.

JA — Tak, i do tej kwestji jeszcze powrócimy! Otóż może zaskoczy Pana, ale nie te wszystkie uzgodnione już w społeczeństwie amerykańskim

opinje o elemencie ludnościowym polskiego pochodzenia wydają mi się uwydatniać wkład Polonji do dobroku kulturalnego Ameryki. Wszak wszystkie te walory wydają się być pochodniami od czegoś, co jest istotne. Tem czymś jest specyficzna formacja psychiczna może nawet właściwiej będzie powiedzieć: formacja społeczna, która jest dziełem kultury polskiej. Rodzice o polskiej formacji kulturalnej przekazują ją swym dzieciom według odwiecznych wzorów i reguł.

ON — A przecież mówiono mi o prymitywizmie kulturalnym ogromnej większości przybyszów z Polski. Mówiono mi, że nie tylko nie umieją się zachować w towarzystwie, ale zdradzają brak delikatności uczuć, że nie stosują się do ogólnie przyjętych przepisów elementarnej higieny. Mówiono, że nawet nie posiadają w dostatecznym stopniu własnego języka. Że z tego powodu, czy też z powodu braku zainteresowań intelektualnych, mało co czytają i nie kupują książek. Przytaczano mi jako dowód wypadki urządzania w wannie składu rupieci. Wreszcie, przypominam sobie uczone wywowy pewnego prezydenta College w Nowej Anglii, który utrzymywał, że Polacy dorabiają się niejednokrotnie kosztem eksploatacji sił i zdrowia żony i nieletnich swych dzieci z wielką szkodą dla rozwoju kulturalnego całej rodziny, a zwłaszcza potomstwa.

JA — Rozumiem, o co Panu chodzi! Chce Pan przy pomocy tak dobranych argumentów wywołać wrażenie, że emigranci polscy reprezentowali odłam narodu polskiego o tak niskim poziomie kultury, że absurdem byłoby spodziewać się po nich, ażeby mogli zaszczerpić swym dzieciom jakąś szczególnie wartościową formację społeczną.

ON — Tak! To mniej więcej miałem na myśli. Pójdę nawet dalej: myślę, że na tem tle musiały w rodzinie założonej w Ameryce przez przybyszów z Polski zachodzić na każdym kroku konflikty pomiędzy rodzicami a ich kształconymi w szkołach i przez środowisko amerykańskie dziećmi. Wydaje mi się, że niezawsze rodzice wychodzili z nich zwycięsko. I że musieli maskować wstyd swej moralnej przegranej jakimiś utyskiwaniami na kulturę starego kraju. A takie zale nie sprzyjały zaszczerpieniu w młode duszyczki zasad kultury starokrajkiej.

JA — Muszę przyznać, że atakuje Pan moje wywody bardzo radykalnie

i bardzo konsekwentnie. Nie lada będe miał sprawę z odparciem tym "arguments-massues" (argumentów maczug), jak mówią Francuzi. Muszę więc uderzyć w ten sam ton — radykalny, i rozwijać swą myśl konsekwentnie.

To prawda, że przybysze z Polski nie władali literackim językiem, ale wszak i ogromna większość Amerykanów, których wykształcenie szkolne kończy się na szkole publicznej, nie może czytać wielu książek, bo posiada zasób słów zbyt ubogi. Czy mamy wyprowadzić stąd wniosek, że ogromna większość Amerykanów stoi na niskim poziomie kulturalnym?

To prawda także, że — naogół biorąc — zainteresowania czysto intelektualne przybyszów z Polski były stosunkowo niższe od zainteresowań umysłowych robotników, górników, czy nawet początkujących farmerów urodzonych w Ameryce. Ale złożyły się na ten fakt nie jakiś prymitywizm kulturalny polskiego ludu (używając terminologii naukowej: polskiego surowca ludnościowego), ale okoliczność, że w Polsce rozdartej na trzy zabory oświata szkolna i pozaszkolna była tylko parodią oświaty. To samo ma zresztą miejsce i obecnie pod zarządem nazistów. Człowiek nie nabierał w tych warunkach szacunku dla pisanego słowa i nie nosił się fałszywie do wysiłku, czysto umysłowego, nie cenil książek i odczytów. Wiedzę teoretyczną zastępowała mu wiedza praktyczna, którą zdobywał zato przy każdej sposobności z podziwu godną chciwością. Giętkość umysłu w jednym kierunku zastępowała więc tu brak tej giętkości w innym kierunku. Szanse kulturalne wyrównywały się.

Z metodami higieny ciała były istotnie niedociągnięcia pod pewnymi względami. Ale zato przestrzegano starannie innych metod pielęgnowania zdrowia: regularności wypoczynku, punktualności posiłku, właściwego doboru i zdrowotności pokarmu, domowych ale skutecznych środków zapobiegawczych i leczniczych, czystości w kuchni i pokojach sypialnych. Z kulturą ciała, z racjonalnością higieny nie było więc tak źle, jak się wydawało.

Wspominał Pan także o brakach natury moralnej. Padły słowa o "miedelikatności uczuć". Ile w tem jest prawdy, a ile tylko wyników powierzchownej obserwacji, a więc przesady? W środowisku ludzi ciężko pracujących fizycznie wyrabia się fatalistycznie szorstkość i rubasność charak-

teru. Nie wpływa to w żadnym jednak stopniu na skalę i na głębię uczuć! Uczucia nie są wysubtelnione, ale mogą występować w całej swej różnorodności i sile bez skazy. Więc należałoby raczej powiedzieć o nich, że wyrażane są niezręcznie i mogą nawet razić. Ale te niedociągnięcia są bardzo płynne i szybko ulegają zmianie pod wpływem innego otoczenia i mniej ciężkiego losu. Przykłady takich ewolucji charakterów możemy moglibyśmy doprawdy w nieskończoność. Natomiast — i to jest

najistotniejsze — młodzi przybysze z Polski przywozili ze sobą do Ameryki mocno wryte w serca zasady życia czystego pod względem obyczajowym, uczciwego i rzetelnego w stosunkach z ludźmi, pracowitego i obowiązkowego w zdobywaniu środków egzystencji, ambitnego i honorowego w torowaniu sobie drogi do dobrobytu, owianego miłością do Boga, głębokim sentymentem do natury i jeszcze głębszym przywiązaniem do języka, pieśni, tańców narodowych i tradycji rodzinnych.

Ażeby nie zmarnować tych skarbów instynktownie i całą siłą duszy następnie pomyślano o odtworzeniu w Ameryce tego układu stosunków, który nie tylko przypominałby rodzone środowisko, ale i pozwalał na konserwację najistotniejszych reguł życia.

Z tego instynktu i z tej siły duszy powstała Polonja, a dzięki niej i kultura polsko amerykańska, o której powiedzieliśmy na wstępie, że jest najcenniejszym wkładem ludności polskiego pochodzenia w Ameryce.



*Uroczystość ku czci poległych w walce podziemnej, odbyta na cmentarzu Pere Lachaise w Paryżu (z lewej: świątyni poeta Louis Aragon, Paul Eluard i wielki malarz Pablo Picasso).*

# POEZJE JÓZEFA MIŁOBĘDZKIEGO

## ODEZWA BIURA ODBUDOWY ŚWIATA DO MATEK PLACZĄCYCH PO STRACIE SYNÓW

Odbudujemy świat, odbudujemy

Nie płaczcie, żony i matki —

Zbudujemy pomniki bohaterom,

Zbudujemy domy dla sierot,

Obniżymy wam państwowe podatki.

Odbudujemy świat, odbudujemy!

Powstańcie ze zgliszcz i z prochu,

Nie łamcie rąk w rozterce!

Odbudujemy świat, odbudujemy!

Każdej z was damy samochód,

Maszynę do ondulacji włosów,

Elektryczną kuchenkę

I elektryczne serce.

## VIOLETTA

Wysoka, mokra trawa kołysze się nad nami.

Leżymy patrząc w niebo. Stopy nam liże Atlantyck.

Piękna Violetta trzepoce przyklejonemi rzęsami,

Po których łzy jej płyną jak najwspanialsze brylanty.

Piękna Violetta płacze. Deszcz spadł i szumi w drzewach,

W ziemię rozgrzaną słońcem bije wielkimi kroplami.

Piękna Violetta płacze. Szumi wiosenna ulewa.

Piękna Violetta trzepoce przyklejonemi rzęsami.

Stoję, oczy otwieram, wpatrzony w ogromną tęczę,

Która wyrasta nagle nad nieba i oceany...

Nie słyszę płaczu i deszczu. Na nagiej skale kłęczę

I spycham piękną Violetkę w otchłanie białej piany.

## Do przyjaciół kosmopolitów

Polska — oklepane słowo  
Z czwartej klasy freblówki,  
Kiedy na lekcjach, antypaństwowo,  
Pod ławką grywaliśmy w stalówki,

Kraj, pachnący sianem i mięta,  
Skibami zoranej ziemi,  
Gdy w każde narodowe święto  
Z uroczystej zwiewaliśmy akademji,

Czemże był, jeżeli nie cieniem,  
Gdy nie trzeba było się o niego troskać —  
Obejmowała go czułym ramieniem  
Opiekuńcza, dobra Matka Boska.

Na wagarach włóczyliśmy się po łące  
Ścieżką w kaczeńcach ukrytą,  
Świeciło nam międzynarodowe słońce —  
Przyjacielu, kosmopolito!

O przyjacielu drogi,  
O którym nie wiem, gdzie leżysz,  
Pośród francuskich mogił,  
Pośród nieznanych żołnierzy.

I ty, nad którym ciężkimi zaspami  
Zawisły grube śniegi,  
Czyich-że bronileś granic,  
O poległy w śnieżnej Norwegji?

I wy, wy którzy żyjecie,  
Jakich czekacie świtów,  
Gdy los żołnierski gna nas po świecie —  
— ojczyźnie kosmopolitów?

Gdy serce przestaje bić,  
Śmierć oczy zamyka mgłą siną,  
Wtedy dopiero wiemy: że trudno, tak musi być  
Muszą Polacy kochać swą ciężką ziemię rodzinną.

## SKOK Z TRAMPOLINY

Wchodzisz na trampolinę

I czujesz się jak przed ślubem —

Gdyby nie było ci wstyd, drżałbyś jak liść,

Zwysoka wszystko jest inne

I czyha na twą zgubę,

Mysłisz: a może lepiej nie trzeba mi było iść?

Lecz wkrótce strach odlatuje

I stajesz się pewien siebie,

Wolę swą mierzysz na desce, co gniew się pod tobą i drży —

A w dole morze faluje,

A w górze jest błękit na niebie,

A między morzem i niebem zawisłeś i czyhasz ty.

Aż nogi same się prężą

I cofasz się kilka kroków,

To tupot twych bosych stóp wybuchnął na desce i zgasł.

O prawdy, nieznanie księżom,

Wzgardzone przez proroków,

Że ciała łuk wyprężony zamyka przestrzeń i czas!

Wybuchem, wyrzutem w przestrzeń,

Łukiem każdego mięśnia,

Płonące wargi rozwiera pędu palący głód —

Aż stajesz się śmiechem i dreszczem

I spadasz pełen szczęścia

W chłodne ramiona wody — pieszczotą gorących bioder...



BOLESŁAW POMIAN

## SPOTKANIE Z "303"

Czerwiec, 1941

Jest cudna czerwcowa noc. Powietrze jest jasne i czyste. Tylko nad pomyślaną Tamizą rozciąga się biały welon lekkiej nocnej mgiełki. Wiejący wzdłuż doliny wiatr przynosi zapach lip, zapach kwiatów z nad Tamizańskich łąk i słodką woń róż z niedalekich, Oxfordzkich ogrodów. Aksamitne ciemne niebo jest usiane miliardami jasnych, srebrnych gwiazd. Lotnisko tonie w ciemnościach i tylko kilka światełek, kręcących się przy samolocie mechaników, zdradza, że pod tą ciemnością kryją się przygotowania do lotu, że dispersal point "F" Flightu, pełen pracujących ludzi. Otworzyły się drzwi hut'u mieszczącego crew-room, i w ich jasno oświetlonym kwadracie ukazała się szeroka, ciężka, otulona w futra, pogrubiona jeszcze przez Mae West'kę i spadochronową uprząż postać. Stojący przed samolotem Bill odrzucił papierosa. Owiał go silniejszy podmuch wonnego słodkiego wiatru. Powiew nieuchwytny i znikający, zwiewny jak zapach ramion Kitty, który Bill pragnąłby jak najdłużej zachować a którego tylko nikłe, subtelne ślady, mógł odnaleźć, ilekroć opuścił głowę ku piersiom. Te zapachy lip, kwitów i ramion dziewczęcych — to przecież może ostatnie pożegnanie, jakim cię żegna dolina Tamizy. Bill stara się odrzucić tę myśl, jak przed chwilą odrzucił papierosa. Zwraca się do nadchodzącego od strony hut'u lotnika: "Obliczyłeś już George nasz flight plan? O której start?" "Jeśli mamy być nad celem w pięć minut po wschodzie słońca, musimy startować o drugiej". "To już niewiele czasu mamy, chodźmy do maszyny". Pociemku zajmują swe miejsca, w blasku niktłych, kieszonkowych latarek sprawdzają czy wszystko jest na swoim miejscu i w porządku. Bill daje sygnał zapuszczenia silników. W ciszy nocnej, po orosionych trawach z nad Tamizańskich łąk niesie się daleko donośna gra motorów. Prowadzeni przez światełko jadącego przed nimi samochodu, Bill kołuje na początek runway'u. Raz jeszcze próba motorów. "Wilson proś o zezwolenie na start". I w odpowiedzi rozbłyły światełka flarepath'u długą, białą linią. Równocześnie na szczytach hangarów zabłyły pomarańczowe gwiazdy przeszkodowych świateł. "Możesz startować, skipper" — rozlega się w inter-comm głos Wilsona. Nie jest do brze trzymać zbyt długo lotniska oświetlonym. Wprawdzie już opadła fala najgwałtowniejszych malotów bombowych, ale tem usilniej kręcą się niemieccy intruderzy nad angielski

mij lotniskami, polując na startujące lub powracające maszyny. Nie dalej jak wczoraj na sąsiadującym z Nenson lotnisku, intruderzy zestrzelił powracającego z wyprawy Wellington'a. Nikt z załogi o tem nie mówi, ale pamiętają wszyscy. Bill otwiera przepustnicę na pełen gaz i włącza emergency boos. Z wydechowych rur tryskają iskry niespalających się do końca, za bogatej, mieszanki. Blenheim rusza. Rozpędza się tocząc się po głazdzi runway'u. Gdy już ma dostateczną szybkość, by reagować na stery, Bill lekko odpycha volant i wyrównuje maszynę do linii lotu. Blenheim z każdą sekundą nabiera pędu, koła już tylko muskają głazdzi runway'u, a Bill wciąż dusi maszynę, nie pozwalając jej odenwać się przedwcześnie do ziemi. Blenheim jest przeciążony i Bill nie chce ryzykować. W pewnej chwili, gdy czerwone światełka wskazujące koniec runway'u zaczynają się w gwałtownym pędzie zbliżać, Bill ściąga volant ku sobie i Blenheim odrywa się od ziemi. Na pierwsze skinięcie głowy Bill'a, George przesuwając dźwignię kierującą położeniem podwozia z pozycji "dół" na "górze". Na następne skinięcie podnosi klapy. Bill przestawia skok śmigła z "fine" na "coarse" i włącza emergency boost. Jeszcze nie ukończyli "pożegnalnej roundy" nad lotniskiem, gdy gasną wszystkie światła i Nenson znika. Tylko srebrna wstęga Tamizy wiję się w szerokich zakolach i tylko połyskują srebrzyste tafle małych jeziorek Satford'u. "Bill steruj 70 stopni, odchodzę do swojej kabiny. George opuszcza swój ruchomy stół i rozstawia na nim swe liczne nawigatorskie graty. Obecnie leżą na map reading i co kilka minut w inter-comm. rozlega się głos Bill'a lub Wilsona: "George, czerwona litera "R" jak Roger, bije o 10 mil, wprost przed nami" lub "George białe litery "L" jak Lew i "B" jak Barbara biją o 5 mil na kierunku 10ej godziny" gdy navigator trzyma zegarek przed sobą, kierunek 12 godziny oznacza: wprost przed samolotem, kierunek 3ej godziny oznacza: w prawo od samolotu, kierunek 6ej godziny oznacza: z tyłu za samolotem itd.). George odpowiada krótkim "Roger" i na mapie sprawdza, czy podawane mu światła zgadzają się i potwierdzają, że samolot idzie po track'u. Sam nie widzi nic prócz mapy. Skipper Bill siedzi w kabynie oświetlonej tylko fosforyzującymi wskaźnikami, strzałkami i tarczami przyrządów kontrolujących pracę silników i położenie samo-

lotu. Poza to kabina pilota jest ciemna i Bill widzi wyraźnie otaczający go świat. Również w zupełnej ciemności siedzi w swej wieżyczce strzeleckiej Wilson. Ale nawigator nie może pracować po ciemku. Jego kabina jest jasno oświetlona i od zewnętrznego świata oddzielają go grube firanki blackout'owe, którei szelnie jest osłonięta cała kabina. Dla nawigatora cały lot odbywa się tylko na rozpiętej na nawigacyjnym stoliku merkatorskiej karcie. Cały kontakt ze światem zewnętrznym zastępują mu oczy Bill'a i Wilson'a. Anglja jest wprost usiana świetlnymi beacon'ami i pod względem nawigacyjnym lot w nocy jest łatwiejszy od lotu w dzień. — Świetlne beacon'y są ustawione w miejscach, które są ścisłą tajemnicą, poza to co kilka godzin beacon'y zmieniają swe miejsca i wyswietlają inne litery. Beacon'y są więc pomocą tylko dla tego nawigatora, który ma kod, podający ich położenie i literę o danej godzinie. Kontrpartnorem z Luftwaffe beacon'y nie powiedzą nic.

Wygodna, zorganizowana trasa kończy się jednak z chwilą, gdy w inter-comm. rozlega się głos Bill'a — "Wychodzimy na morze". "Roger. Bill steruj kurs 53 stopnie". George wnosi zapis do logu, przywiesza na piersi małą latarkę, gasi światła w swej kabine, poczem rozsuwa blackout'owe firanki. Przez kilka chwil nie widzi nic. W atramentową ciemność nocy niesie się ich samotny Blenheim. Po kilkunastu chwilach oczy osuwają się z otaczającą ciemnością i w miarę jak komodują się do ciemności oczy ciemność blednie i George widzi wyraźnie białe piany morskich grzywaczy. Na niebie lśnią miljardy srebrnych gwiazd. Jest już bardzo późno (lub wcześniej) i gwiazdy zdążyły już przejść znaczną część swej nocnej drogi. Wielka Niedźwiedzica pochyliła się i Dubhe lśni nad samym horyzontem. Wysoko wypłynęły, niewidoczne przedtem Arcturus i Spica, leżące na przedłużeniu jej dyszla. Układa się już na spoczynek ryceń Orion i wysoko wzbily się na wschodniej połącz nieba Vega, Altair i Deneb. Wysoko, prawie w zenicie lśni srebrne światło Capelli, na południe od niej wypłynął Regulus i tuż przy nim świeci białe, spokojne, odbite światło planety Jupiter. Na południowym płacie nieba zaćmiewają wszystkie pobliskie gwiazdy złote, migotliwe promienie Sirius'a. Na Północy świeci nieruchoma, wierna przyjaćciółka żeglarzy i lotników — Polaris. Wybór George'a pada na Vegę, Si-

rius'a i Polaris. "Bill, zaczynam sight'y, staraj się prowadzić grata steady". Blenheim nie posiada astro-hatch'u. Gdy budowano kochanego staruszka tylko marynarze porali się podówczas sekstensem. Lotnik w owe zamierzone czasy orjentował się według ziemi i mapy, pozostawiając znajomość gwiazd astrologom, mistrzom czarnej magji i innym szarlatanom. Potem zmieniły się czasy, ale już nie przerobiono staruszka i nawigator na Blenheim'ie musi otwierać okienko, by przez ten wolny od refrakcji kwadracik celować w dalekie gwiazdy. W spokojnem, cichem powietrzu nocy Blenheim niesie się równo, statecznie i "połów gwiazd" nie przedstawia żadnej trudności. Sześć szybko po sobie następujących shoot'ów, spojrzanie na zegarek, naciśnięcie napierśnej latarki, zapis czasu i wysokości gwiazdy — i żegnam się z panią, pani Vega. Pańska kolejka panie Sirius. — Sześć szybkich shoot'ów, zegarek, latarka, zapis czasu i wysokości. Dziękuję Panu. Pani pozwoli, pani Polaris, please! Sześć shoot'ów, zegarek, latarka, zapis. Mikro: "Bill, skończym, dziękuję". George zaciąga firanki i zapala światło. Kilka prostych obliczeń, kilka linii wkreślonych na kar-

tę merkatorską i Mikro: "Bill, jesteśmy na track'u, za dziesięć minut zmiana kursu". "Roger". Po zmianie kursu, George ponownie gasi światło i przystępuje do sight'ów. Teraz już będzie tak pracował przez cały czas. Brzeg Danji musy być przekroczony dokładnie, co do paru mil, w wyznaczonym punkcie. Parę mil na południe i wejda w potężne zgrupowanie reflektorów i przeciwlotniczej artylerji. Toż samo, jeśli zejda zbyt ku północy. Idą w sieć wspaniale zorganizowanej obrony i oczka sieci są zbyt małe, by można sobie było pozwolić na pomyłkę przekraczającą trzy mile.

Właśnie ostatni "Fix" wykreślony na karcie podawał, że są w odległości 20 mil od brzegu, ściśle na track'u, gdy w inter-comm. odezwał się głos Bill'a: "Na kierunku 1ej godziny, odległość 10 mil, widać ogień artylerji i reflektory". George zgasił światło, rozsunął firanki. Przed nimi na jakieś 20 stopni na prawo od ich kursu niebo pokryte było białymi i fioletowymi mackami reflektorowych wachlarzy. Cała gama różnokolorowych pocisków szyla gęstymi ściegami w pocięty smugami reflektorów granat nieba. Wyglądało to — gdy się było tylko

widzem, nie celem — jak jakiś wielki festyn ogrodowy z pokazem sztucznych ogni, fajerwerków i bengalskich ogni. Któryś z powracających "Whimpy" (pogardliwa nazwa powolnych Wellington'ów) musiał się udawać na Południe. Zgrupowanie — pomyślał George. Było mu żal powolnej krowy, którą tam musiano obrabiać nie lichu, a jednocześnie cieszył się, że niefortunny kolega odwraca uwagę Jerry'ch od ich Blenheim'a. "Bill, steruj 090, jeśli możesz powiększ szybkość, przeskoczmy, póki Jerry są zajęci tym Whimpy'm". "Roger". Gwałcone sprężarkami motory zawyły na najwyższych dopuszczalnych obrotach i Blenheim przekroczył, niezauważony, brzegi Danji. George już nie zaciągał firanek. Teraz, nad Danją, mógł ponownie nawigować "sposobem ojców", to jest na map reading. Charakterystyczna zatoka, której jasne wody odcinały się wyraźnie od otaczającej czerni ładu, mówiła wyraźnie, że są na track'u. Ale Danja w tym miejscu jest bardzo wąska i po kilkunastu minutach lotu George ponownie ujrzał jaśniejącą linię morza, tym razem, Morza Bałtyckiego. Bałtyk! Drapieżne, ostre kły tęsknoty zatapiają się w ser-



*Polski żołnierz — Św. Mikołaj i włoski aniołek we Włoszech*

ce. Okrutne złe ręce duszą żelaznym usciskiem gardło. Bątytk! Fala wspomnień zalewa myśli. Pamiętasz? Jastarniańska szeroka plaża — wysoki brzeg Jastrzębiej Góry — spokojne, senne wody Puckiej zatoki..

Słowa Bill'a przywołują George'a do rzeczywistości: "George już chyba czas iść na wysokość?" "Tak już czas" — odpowiada George nakładając tlenową maskę. Blenheim powoli, leniwie drapie się na wysokość 17,000 stóp. Zimno wsącza się do kabiny i George zaciąga zapięcia błyskawicznych zamków swej futrzanej kurtki i spodni. W miarę jak wznoszą się w górę, wschodnia połać nieba coraz silniej nasycza się blaskiem zbliżającego się świtu. Na pobielającym niebie błędną i gasną gwiazdy. Już coraz wyraźniej różowi się na niebie miejsce, skąd za kilkanaście minut wystrzeli ponad horyzont złocisty dysk wschodzącego słońca. Tam w dole jest jeszcze noc i w ciemności przetaczają się fale morskie zdobne w białe grzywy pian, ale tu, na wysokości 16,000 stóp, jest już zupełnie jasno i widać wyraźnie zarysy nielicznych białych cirrus'ów, rozciągniętych długimi, zwiewnymi pasmami na jaśniejącym z każdą chwilą niebie. "George chyba coś pokręciłeś z tym wschodem słońca, jest stanowczo za jasno." — niepokoili się skipper załogi. "Bill, wschód słońca za 12 minut, nad celem będziemy za 17 minut — to nie moja wina, że taki jasny brzask". "Będziesz się tłumaczył w Oflag'u, lub u świętego Piotra" — pociesza George'a Bill. Widać linie wybrzeża. Jeszcze są na morzu, a już widać wyraźnie wstęgi szos prowadzących ku Neumunster. Jest stanowczo za jasno. "Mówię, Bill, módl się, by zadzierający w górę głowy Jerry rozpoznali nas jako Junkers 88 i nie alarmowały myśliwców". Blenheim jest już nad terenem wroga. Bill i Wilson omiatają czujnymi oczyma horyzont, a George stara się odnaleźć w terenie miejsce, skąd mają wyjść na kurs, który wyprowadzi ich prosto na cel. Kurs taki nazywa się kursem bojowym i George wyprowadza jego nazwę od słowa "bać się". Szuka. Płyną minuty. Jedna, druga, trzecia. Jest! Skrzyżowanie dwóch szos, lasek na południe, tor kolejowy przy lasku i białe domki Altdorf'u. "Bill, kurs bojowy 283 stopnie." Blenheim idzie na cel od wschodu, idzie od lądu w morze. Są odwróceny tyłem do słońca i George nie może widzieć jak złocisty dysk wystrzelił ponad horyzont, ale po jasności, jaka zalała leżący tam w dole krajobraz, odgaduje, że jednak asię nie pomyliło kochane słońce i weszło zgodnicie z obliczonym dłań przez George'a czasem. Blenheim idzie w kierunku słońca i odnalezienie go jest bardzo mało prawdopodobne, prawie niemożliwe. Jeszcze dwie minuty lotu

i widać grające w blaskach słońca wody zatoki. Nad miastem wiszą dymy jak wielki szary obłok. Pajęczyzna setki dróg i torów zbiega się ku środkowi tego otoczonego dymami celu. Już widać nie tylko wody zatoki — już słońce gra w każdej odnodze, w każdym basenie, w każdym kanale ich olbrzymiego celu: — Kiel.

George pochyla się nad celownikiem swych fotograficznych aparatów. Zrywa pospiesznie podziałki, wyrównuje do poziomu, ustawia odpowiednio do wysokości i szybkości dane. — "Bill, włączaj "emergency". Trzask motorów znów przechodzi w straszliwe wycie. "Bill, w prawo, jeszcze, jeszcze, za wiele, w lewo, tak tak trzymaj. Uspokój i odczytaj. Tak trzymaj. Steady. Steady. Cameras on" Migają kolorowe światełka kontrolujące pracę aparatów foto. Zielone, czerwone, zielone, czerwone. W lusterkach i pryzmatach przesuwają się kolejno dachy zabudowań, potem grają w słońcu szklanne dachy warsztatów i stoczni, jaśnieją wody licznych odnóg olbrzymiego portu. Z tej wysokości nie można rozróżnić już szczegółów, ale to robią już specjaliści w Interpretation Room'ie. Z tej wysokości robione zdjęcia obejmują tak wielki obszar, że jeden nalot pokrywa w zupełności cały obszar portu. W spokojnym powietrzu poranka, prowadzony pewną ręką Bill'a Blenheim idzie jak po nitce po nakazanym kursie. Migają kontrolne światełka: zielone, czerwone, zielone czerwone. Przyrosły do celownika George widzi tylko przesuwający się tam, w dole, port i odbicie kontrolnych światełek, które mówią mu o pracy aparatów foto. Nawet nie potrzebuje korygować Bill'a, tak idealnie idą w kierunku. Mijają sekundy. Łączą się w minuty. Potem rozpoczyna się druga minuta. Tą również wypełniają sekundy. Rozpoczyna się trzecia minuta. Milczą karabiny Wilson'a i milczy Wilson, omiatając oczyma niebo. Teraz, w ciągu tych całych sześciu minut, potrzebnych do przedefiniowania nad celem, Wilson jest oczyma załogi. Ani wpatrzony w Sperry'ego Bill, ani pochylony nad celownikiem George nie widzą nic oprócz: Bill — czulej nitkę Busoli Sperry'ego, George — defilującego w celowniku portu. Cała obrona Blenheim'a to oczy i Browningi Wilson'a. Rozpoczyna się i kończy czwarta, potem piąta minuta lotu. Jeszcze tylko cztery mile — myśli George — cztery mile, czyli 80 sekund. Zapalają się i gasną kontrolne światełka. Szara wstęga betonowej szosy znaczy granicę wyznaczonego do sfotografowania rejonu. George wyłącza aparaty i mówi: "Bill, cameras off, kurs 345 stopni" "George, Wilson, zatkaście nosy, schodźcie".

Trzask i łomot motorów przechodzi

w łagodny szum. Strzałki wysokościomierza i szybkościomierza rozbiegają się: 200 — 205 — 210 — 215 — 220 — 225 — 230 — 235 — pyszni się szybkościomierz. 17000 — 16400 — 16000 .... 15000 .... 14000 .... 13000 — 10000 — 9000 — 8000 alarmuje wysokościomierz. Pomimo nadmuchiwania się i trzymania za nos, gwałtowna zmiana ciśnienia powoduje ból w uszach i wszystkich stawach, ucisk i zamęt w głowie. Ale to jest jedyna droga powrotu, jedyna szansa wydośtania się z nad bronionego silnie obiektu: jaknajszybcej dojść do ziemi. Zejść na wysokość 50 stóp i na tej wysokości, będąc niedostępnym dla myśliwskiego pilota, smarować ku brzegom Anglii, wierząc, że konieczny w lotniczym fachu łut szczęścia nie wyprowadzi lecącą nisko maszynę na żadne zgrupowanie szybkostrzelnych działek, lub ciężkich karabinów maszynowych. Nad zielonymi łąkami Danji niesie się Blenheim na wysokości 50 stóp. Na zachód. Ku morzu. Nad morzem już wszystko będzie OK. Bill prowadzi Blenheim'a tuż nad ziemią. Czasem, gdy drogę za stąpią wysokie topole, Bill przechyla rozpedzoną maszynę i przechodzi między drzewami, z wertykalnie prawie ustawionymi skrzydłami. Gdy drzewa są gęstsze, Bill podciąga maszynę i przeskakuje nad nimi. Teren przebiega tak szybko, że zrozpaczony George nie może zorjentować się gdzie się dokładnie znajdują. Właśnie chce prosić Bill'a, by ten wyszedł choćby na chwilę na wysokość 400 do 500 stóp by George mógł się zorjentować, gdzie są. Ale zanim jeszcze zdążył wziąć do rąk mikro, w intercomm. rozległ się głos Wilsona: — "Trójka Me na wysokości 10,000 stóp, kierunek 8ej godziny. Na kierunku trzeciej godziny widać condensation trail, wysokość duża." Pozostawało tylko jedno: gnać na zachód i wierzyć w swoje szczęście, że linję brzegową przekroczy się nie koniecznie nad zgrupowaniem ośrodka obrony przeciw lotniczej. Pole widzenia nawigatora w samolocie lecącym na wysokości 50 stóp nie jest dużo — może od pola widzenia samochodowego kierowcy, a szybkość z jaką mijają drobne szczegóły terenu, wyklucza możliwość orjentacji. Pozostaje tylko skrzyżować mocno palce i wierzyć w szczęście. I szczęście nie zawodzi. Blenheim wypada nad niskie, pagórkowate diuny. Linja brzegu pędzi na spotkanie. George widzi jak z betonowego block-house'u wypada dwóch żołnierzy i zaczyna strzelać ku ich samolotowi z trzymany w ręku karabinów. To jest absolutnie nie groźna, ani dla żołnierzy, ani dla Blenheim'a zabawa, myśli uradowany wyjściem nad morze George. Ale Wilson jest innego zdania i jego Browningi gwałtownym warkotem i trza-

skłiem rozdzwaniają się w intercomm'e. Skutku George już nie widzi. Blenheim niesie się już od kilkunastu sekund nad zielonymi falami Północnego Morza. Bill zlekka zaczyna wchodzić na wysokość. Taki koszący lot nie jest dla pilota miłą ani przyjemną rzeczą, zwłaszcza, gdy pilotuje ciężką i nie tak zwrotną jak Spitfire lub Hurricane, maszynę. Bill wyrównuje na wysokości 1500 stóp i zwraca się do George'a: "Widziałeś, jaką miał grat jazdę? Żeby tylko nie zaszkodziło staruszkowi. Jaki kurs?" "Kurs? Albo ja wiem gdzie jesteśmy? Nad Danją, to i wszystko. Steruj na zachód, anyway na zachód od Danji jest Anglja". "Knada jest też na zachód od Danji" — stwierdza spokojnie Bill. "Nic się nie bój, za godzinę, gdy będziemy już blisko U. K. poprosimy o "Fix'a" i potem ci podam dokładny kurs, póki co steruj na zachód". Wilson, który jest strzelcem (co jest konieczne) i jednocześnie radio telegrafistą (co w obecnej chwili jest mniej ważne) proponuje Georgeowi, że może mu dać kilka namiarów nad radjowych, ale Bill stanowczo protestuje: "Ty się lepiej po niebie rozglądaj, Wilson, radju daj spokój". Ale niebo jest puste. Jest wczesna pora, zaledwie godzina po wschodzie słońca, i tylko gdzieniegdzie na jasnym, letnim niebie zaczynają się formować pierwsze zawiązki cumulusów. Jest ich zbyt mało, by mogły zapewnić osłonę i zbyt nikłe, by umożliwić zasadzkę nieprzyjacielskim myśliwcom. Powrót jest murowanie spokojny, myśli George i pochyła się nad merkatorską kartą, starając się wyśrodkować, gdzie się znajdują. Z tych rozważań wyrывa go donośny trzask Browning'ów. Wilson strzela.. Nawigacyjny stolik odlatuje pod ścianę. W następnym ułamku sekundy George odrzuca swe składane kszesesełko i otwiera podłogę kabiny. W dole, pod podłogą kabiny, w osłonie zamocowane są dwa Browning'i mawigatry. Strzelać można tylko w bardzo niewygodnej pozycji leżącej i tylko w niewielki sektor: do tyłu pod samolot. Ale przedtem ten właśnie sektor był zupełnie w Blenheim'ie niebroniony i wiele skutecznych ataków było przeprowadzonych właśnie z tego nieobronnego kierunku. Więc te dwa, dziwnie zamocowane karabiny, stały się nieraz przyczyną przykrego, ostatniego na tej ziemi, zdziewienia atakującego Jerry. George widzi tylko zielone fale Atlantyku i białe grzebień pian. Czeka w napięciu na pojawienie się sylwetki atakującego samolotu. Inter-comm. rozbrzmiewa co chwila donośnym łomotem i trzaskiem Wilson'owych browningów. Gdy milknie ich trzask, słychać tylko wysoką nutę jęku, grających na nadmiernych obrotach motorów. Czasem słychać głos Wilson'a

kierującego unikami Blenheim'a. George przyrósł do swoich karabinów. Stara się nie słyszeć nic — nie myśleć o niczem. Wie że za chwilę wyrośnie przed nim zadanie, które wydaje mu się ponad jego siły. Wie, że jeśli ujrzy w swym celowniku kształt samolotu — kształt ten ukaże się tylko na ułamek sekundy. W tym ułamku sekundy będzie musiał zauważyć samolot, oczy podadzą mózgowi obserwację, mózg opracuje poprawkę celu, od mózgu pójda rozkazy do rąk: fire! Czy zdąży? Znow intercomm. rozdzwania się długą serją.— Serja cichnie i słychać wrzask Wilsona: I got him. — I got him" W następnej chwili metalowe płyty samolotu dźwięczą i dzwonią pod szybkimi uderzeniami. To struga pocisków ujęła kadłub Blenheim'a w swój śmiertcionośny zasięg. W lusterku ukazuje się bok odchodzącego po ataku Junkers'a i jednocześnie odzywają się Browningi George'a. Długa serja. Rzucona daleko w przód przed idący pod prostym prawie kątem samolot, wytrzymała, doprowadzona aż do chwili, gdy smugowe pociski zaczynają ogarniać wysmukły kadłub Junkers'a. George jest już spokojny. Czasu wystarczyło. Instykt walki wyłączył pracę mózgu, sprzegając bezpośrednio oczy i ręce w niezawodny, precyzyjny instrument walki. I ręce — jakby bezwiednie, poza świadomością mózgu, rozpoczęły strzelać — tak samo bezwiednie zwolniły zacisk, gdy smużący dymem z lewego płata Junkers wyszedł z pola obstrzału Browningów.

Blenheim leży teraz w głębokim wirażu i na jedną krótką chwilę George widzi jak jeden z Junkers'ów idzie pod ostrym kątem ku powierzchni morza — to ten o którym mówił Wilson: "bloody bastard" — myśli George. Drugi Junkers, smużąc leciutki obłoczek czarnego dymu z lewego motoru, lecz wciąż utrzymując wysokość — odchodzi w wschód, ku Holandji. "Bill, Bill, zawróć, niech George sfotografuje mego Jerry" — domaga się Wilson. "Za minutę tu będą i Messerschmidty" — odpowiada Bill i nie wyłączając włączonego na

początku walki emergency bost'a, schodzi gwałtownie na wysokość 100 stóp. I znow Blenheim leci na małej wysokości, tuż nad powierzchnią rozkołysanego morza. Wyją i jęczą pracujące na nadmiernych obrotach motory. Bill jest nie darmo skipper of operational crew. Wie, że został wysłany po zdjęcia portu Kiel. Zdjęcia wykonał i zdjęcia portu przywiezie. To, że Wilson'owi nie zaliczą straconej maszyny, to jest sprawa drugorzędna. Zresztą i Wilson uznaje rację Bill'a. Blenheim leci tuż nad rozkołysaniem morzem. Temperatura oliwy i głowic gwałtownie wzrasta. Bill co chwila patrzy z niepokojem na wskaźówki, które zawędrowały już daleko, poza czerwoną kreskę najwyższej dopuszczalnej temperatury. W intercomm. słychać głos Wilson'a: "Na kie runku szóstej godziny widzę trzy punkciki, rosną szybko". Bill lekko odłada volant od siebie, teraz Blenheim niesie się dosłownie tuż, tuż nad powierzchnią fal. George patrzy na zegarek. Tylko 6 minut wolno trzymać motory na emergency boost'cie. Ich motory pracują już tak od 16 minut. Ale czyż mają wybór? Bill rzuca okiem na temperaturę — "Wilson — zbliżają się?" "Tak, ale chyba nas nie widzą, wydaje się, że przejdą po naszej lewej stronie". Bill zagryza wargi i spogląda na temperaturę oleju i głowic. George również unosi głowę i chwytą na mikro: — "Bill — wyłączaj emergency — patrz!" Wysoko na niebie na kierunku 12ej godziny, o kilkanaście mil przed samolotem i o wiele tysięcy stóp powyżej — ciągną się na niebie równiutkie niteczki condensation trail'u. Samoloty są zbyt wysoko, by ich można było zobaczyć — ale niteczki srebrzystej kondensacji mówią zupełnie wyraźnie kim są nalatujący. Serce George'a roznosi radość i duma: "Bill widział taką formację? Przypatrz się dobrze i zapamiętaj, to "nasz" Squadron 303 lata w takiej, czwórkowej, formacji" W tem słowie "nasz" brzmi całe morze dumy. "Wilson, a co robią Jerry?" "Niestety, też zobaczyli, zwracają ku południowi" "Wilson, teraz możesz iść do radja i daj George'owi Fix'a". "Skipper, radiostacja jest u/s, dostała parę pocisków, psiakrew, że też musiał trafić w radjo". "Ciesz się że ciebie nie trafił, Bill, obejdziemy się bez fix'a, ci myśliwcy idą z pod Londynu, pójdziemy w kierunku skąd oni idą, steruj 250 stopni". "O. K. steruj 250 stopni. George, ale tym z 303 wypadało by posłać butelkę" zastanawia się głośno Bill. Ale George zbyt długo przebywał wśród Szkotów: "Jedna butelka im nie wystarczy, a na 12 butelek nie mamy pieniędzy, lepiej sami wypijemy ich zdrowie". "O. K. — zgadza się Bill — wypijemy dziś zdrowie Squadron 303".

KTO CHCE  
NAJSZYBSZEGO  
ZWYCIĘSTWA  
i  
POKOJU  
TEN KUPUJE  
B O N D Y  
WOJENNE

MARJAN HEMAR

## KARTKI Z PAMIĘTNIKA

## ANEGDOTKA REKLAMOWA

Henryk Ford ogłosił kiedyś:  
 "W tym sezonie każdy może  
 Nabyć fordą, bez dopłaty.  
 W jakim tylko chce kolorze.

Każdy kolor, jak kto woli,  
 Elegancki, czy wulgarny,  
 Nie gra roli — naturalnie  
 Pod warunkiem: *byle czarny.*"

W nowym cudnym, rajskim  
 świecie  
 Co rozwiewa się przed nami,  
 Tak będziemy suwerenni,  
 Jak życzymy sobie sami.

Jak zechcemy — pańscy chłopscy,  
 Robotniczy, lub endeccy,  
 (Pod warunkiem, naturalnie,  
 Że będziemy proowieccy).

Politycznie — niepodlegli,  
 Ustrojowo — szmer podziwów!  
 (Naturalnie, pod warunkiem,  
 Że w sowieckiej sferze wptywów).

Wolni, silni, katoliccy,  
 Aż się serca w nas weselą.  
 (Z tym warunkiem że  
 nat'ralnie,  
 Pod sowiecką kuratelą).

Własne państwo, własna szkoła,  
 Własne armja i komenda.  
 (Pod warunkiem, że nat'ralnie,  
 Unconditional surrendah).

Ogłoszenie reklamowe:  
 W tym sezonie Polska może  
 Sama sobie wybrać przyszłość,  
 W jakim tylko chce kolorze.

Wielka przyszłość — wedle woli,  
 Tryumfalna, czy ofiarna —  
 Wszystko jedno. Naturalnie  
 Pod warunkiem:  
*byle czarna.*

## OPINJE I ZDARZENIA

"NIE JESTEM DOBRYM  
POLAKIEM"

W No. 2 "Jutra Polski" z dnia 14 stycznia w liście do redakcji pan W. Zaremba (kto to?) polemizując z wierszem Hemara o piśmie pana Mikołajczyka, tak pisze: "Są różne kłótnie teraz wśród Polaków, co dobre a co złe, czy można czekać z założonymi rękami czy trzeba ratować kraj i ludzi. Ale czy to jest potrzebne, żeby sobie wymyślać? "Dziennik Płoski", teraz organ urzędowy nowego rządu, drukuje obelżywe wiersze. Czytałem jeden, w którym autor p. M. Hemar pisze, że pismo ludowców "Jutra Polski" powinno się nazywać "Nie jestem Polakiem". Pan Minister Pragier jest za to odpowiedzialny. Dlaczegoż to p. Pragier i p. Hemar mają prawa mnie mówić, że ja nie jestem Polakiem? Gdybym ja powiedział tym panom, że nie są Polakami, toby się to nazywało niekulturalnym antysemityzmem. Nie jestem i nigdy nie byłem antysemity i dla mnie Żyd czy Polak takie same mają prawa, ale wszystko jedno, kto to mówi, brzydko jest, gdy wydaje patenta na to, kto Polak a kto nie. Mniejby też warto pisać takich rzeczy, kto zdradza i kto kapituluje i ci, co to robią, tylko powiększają ogólne rozgoryczenie. Mnie się wydaje, że ci, co się godzą na te czy inne ustę-

stwa mogą jeszcze niepodległą Polską uratować, a ci, co się nie godzą, tylko siebie ratują. Ale ich ani zdrajcami, ani nie Polakami nie nazywam, bo pewnie wierzą, że Polsce służą."

Chwył owego pana Zaremby jest znany i oddawna stosowany w prasie, którą redaktorzy "Jutra Polski" zawsze nazywali faszystowską i antysemicką. "Nie jestem antysemity, ale... Ale musimy podkreślić, że pan Pragier i pan Hemar nie nazywają się Mikołajczyk, Kot ani Grabski ani Romer."

To bardzo nieładnie i niedobrze to świadczy o demokratyzmie naszych ludowców londyńskich, tak zawsze hałaśliwie podkreślanym ilekroć trzeba było przeciwstawić się jakiejś groźnej konkurencji politycznej. A poza tym pan Zaremba myli się. W momencie, gdy rząd Polski osamotniony w świecie, prowadzi naprawdę bohaterską walkę o niepodległość Polski i jej całość, bez której niema niepodległości (czego pipidówka ludowcowa widocznie nie rozumie) "Jutra Polski" w każdym niemal artykule obrzuca ten rząd błotem, dowodzi że Polacy głównie grzeszyli przeciw pokojowi, zaleca ustępstwa wobec Rosji — słowem mówi to niemal co propaganda sowiecka i pomaga jej w jej robocie

przeciw Polsce. Kto tak czyni — z jakichkolwiek pobudek — planów osobistych czy głupoty — nie jest dobrym Polakiem — chociażby się nazywał nie wiem jak po polsku. I pan Hemar używając metafory satyrycznej, będącej dobrem prawem satyryka słusznie przezwął "Jutra Polski" — "Nie jestem Polakiem".

W POPRZEDNIM 6 (111) NUMERZE "TYGODNIKA  
POLSKIEGO"

Widma Teheranu, światła odmiany i mary szlacheckich; Władysław Gieysztor: Niemiecki Katyń; Stanisław Stroński: Jak się robi Rząd.. ale w Lublinie; Aleksander Janta: Rodaków nocne rozmowy; Marjan Hemar: Kartki z pamiętnika, Projekt Karykatury; Jak Polska Podziemna we Francji myliła Niemców; Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich; Opinje i zdarzenia.

### KADEN BANDROWSKI I IRZYKOWSKI ZGINĘLI (?)

Nadeszła via Londyn lista artystów i pisarzy o których wiadomo już, że się uratowali z ostatnich katastrof i żyją. Raz poraz czytając ją, oddycha się z ulgą — bo okazuje się, że żyją Nałkowska, Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Gojawczyńska, Mehofffer, Weiss, Szyszko-Bohusz, Adwentowicz, Ewa Bandrowska-Turska, Ówiklińska Romanówna. Któż nie rozrzewnił się szczególnie na wieść, że z pod ruin Warszawy wy dostał się Wiech-arcywarszawski, kogóż nie rozczuli wiadomość, że dobiegający dziewiątego krzyżyka stary Solski jak świetne wiekowe drzewo oparł się wszystkim burzom i nawałnicom. Uratowanie się Kuny i Szyfmana szczególnie nas raduje gdy myślimy co im ze względu na ich pochodzenie groziło. I z czułością wezbraną myślimy o niezawodnym braterstwie Ludwika Hieronima Morstina, który jak się okazuje przechował w swych czarnoleńskich Pławowicach wielkiego Staffa i Piechala.

Ale oczywiście — po radości wywołanej temi wieściami przychodzi myśl o innych, o tych, których niema na tej liście — a których jest tak wielu wśród młodych i starych. Co znaczą nazwiska, których niema na owej liście zbawionych? Czy ci niewymienieni, byli w Warszawie, czy przyjaciele mają o nich wieści? Czy bezpieczniej jest nie pytać się teraz o nich?

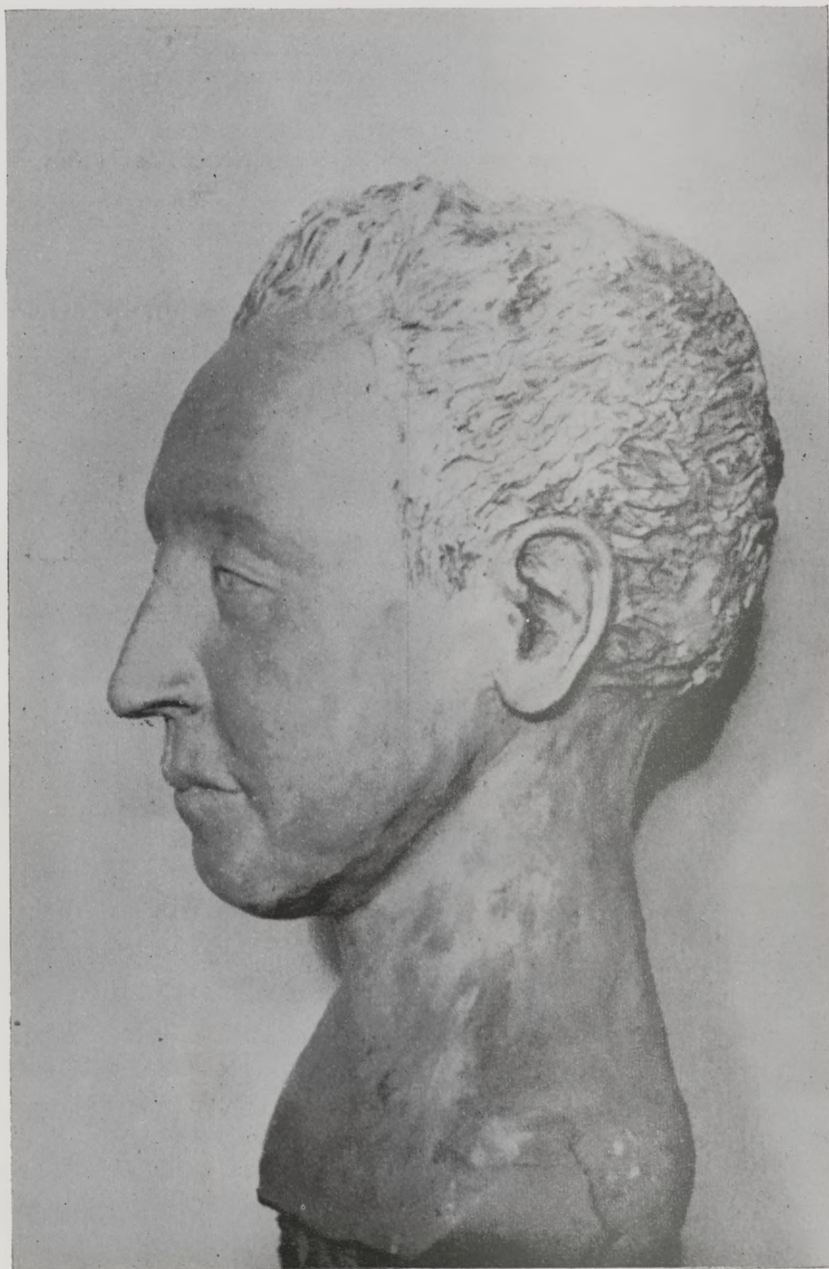
Podobno pod gruzami Warszawy zginęli dwaj pisarze wielkiej klasy, obaj senatorowie polskiego słowa — Kaden Bandrowski i Karol Irzykowski. Ich strata — to jest wielkie, smutne zdarzenie w naszej literaturze i dlatego nie poprzestając na pogłoskach — chcemy otrzymać pewne wieści o ich losie.

### DOSKONAŁA ODPOWIEDZ

Rektor uniwersytetu lubelskiego X. Kruszyński z widocznego i zrozumiałego strachu przed bolszewikami, napisał list otwarty, mający za zadanie dowieść, że pod rządami sowieckimi — kościół w Polsce cieszy się wolnością; list ten szeroko rozpowszechniła prasa pro-sowiecka w Ameryce.

Ponieważ X. Kruszyński zaapelował w swej odezwie osobiście do X. prałata Bolesława Bojanowskiego — ten odpowiedział mu publicznie z wielką zarazem energią i stanow-

### ARTUR RUBINSTEIN SPORTRETOWANY PRZEZ SWOJĄ ŻONĘ



*Piękna żona Artura Rubinsteina Aniela, córka znakomitego kapelmistrza Emila Młynarskiego, kiedyś doskonale zapowiadająca się jako tancerka, odnalazła teraz nowy talent, nad którym pracuje. Oto owoc tej pracy — portret w rzeźbie Artura Rubinsteina, świadczący o prawdziwym talencie naszej rodaczki.*

czością. X. Bojanowski postawił od razu kropkę nad i niefortunnego listu, stwierdzając, że X Kruszyński działa pod wpływem przymusu i że nie jeden taki list, ale nawet setki, pisane w podobnych warunkach — nie zdołają zachwiać w Polakach amerykańskich ugrutowanego na

strasznej prawdzie przekonania że demokratyczny raj lubelski jest tylko częścią piekła syberyjskiego”.

### PIĘKNA UROCZYŚĆ W TRENTON

Odbyta dnia 25 stycznia w polskim kościele św. Jadwigi w Trenton uroczystość na cześć Polski była na-

prawdę wielką manifestacją, wychodzącą poza ramy parafjalne i nawet poza djecezję. Ksiądz biskup trentoński Wilhelm A. Griffin, który rzucił myśl tej uroczystości i który zorganizował ją przy pomocy niestrudzonego i wszędzie w patriotycznej pracy obecnego Księdza Proboszcza Marcina Lipińskiego — chciał nadać owemu trentońskiemu świętu znaczenie symboliczne, czyniąc je aktem walki o ideały chrześcijańskie w walczącej i tak krzywdzonej Polsce uosobione. Nietylko wierny tłum polski z przedstawicielem p. Ambasadora — p. Ministrem Strakaczem brał udział w pontyfikalnej mszy na cześć Polski ale i najszerze rzesze katolików — nie Polaków i duchowieństwo wszystkich narodowości. Ksiądz biskup Griffin w pięknym kazaniu powiedział otwarcie i odważnie prawdę o polskim bohaterstwie i krzywdzie, którą za nie świat nam płaci, po angielsku zaś odczytał podniosłe orędzie na cześć Warszawy. Po polsku mocno i w najlepszym kaznodziejskim stylu przemówił z kazalnicy Ojciec Wawrzyniec Cyman, prowincjał Franciszkanów.

**"TRZECIA CZĘŚĆ FAUSTA"**  
PAUL VALERY

Największą niewątpliwie sensacją literacką Francji — jest zapowiedź nowego utworu świetnego poety Paul Valery, mającego się ukazać niezadługo w bardzo ograniczonej liczbie egzemplarzy. Wszystko co pisał Valery, najbardziej hermetyczny z poetów francuskich, było zawsze wydarzeniem w życiu kulturalnym Francji, teraz przecież sensacja jest tem większa — że poeta przysłowiowo nieproduktywny, sławny na podstawie właściwie dwóch tomów poezji — napisał duże dzieło sceniczne, w dwóch częściach, pierwsza prozą, druga wierszem. "Trzeci Faust" jest więc właściwie pierwszym dużych rozmiarów utworem Valery'ego i niewątpliwie będzie miał decydujące znaczenie dla jego pozycji w historii literatury francuskiej; przeciwnicy Valery'ego bowiem odmawiali mu wielkości dlatego właśnie, że żadnego utworu większego zamysłu dotąd nie napisał.

Jak sam Valery stwierdza jego "Trzeci Faust" jest wzorowany na Goethem, Marlowie i moralitetach

średniowiecznych. W pierwszej części — utrzymanej w tonie komicznym widzimy Fausta jako starego akademika, wspomaganego w pracy przez młodą sekretarkę. Mefisto jest sfatygowanym staruszkim, który przecież zachował mętne wspomnienie o tym, że był kiedyś archaniołem.

Druga część nazwana "Le Solitaire on les Maledictions de l'Univers"

jest napoty bajką napoty tragedją. Utwór zaczęty był przez Valery'ego w samym początku okupacji 1940 roku. Jest on dowodem niezwykłej żywotności poety, który wbrew wszelkim bajkom o "spokoju twórczym" dokonał jedyne większej miary dzieła w najgorszym materialnie i moralnie okresie swego życia. Nie trzeba przytem zapominać, że Valery ma już siedemdziesiątkę.

## Twoje opierznięte ręce potrzebują

HELENY RUBINSTEIN



Dziennego i Nocnego

### OCHRONNEGO LECZENIA RĄK

**Ziołowy Płyn do Rąk** — w dotyku jak aksamit. Wspaniały, wierny opiekun rąk. Zawiera najwięcej efektywne składniki zmiękczające. Masować ręce stale tym płynem. Zobaczysz jak Twoje ręce będą miękkie i gładkie. Jak ślicznie wypielęgnowane! ..... \$1.00

**Ziołowy Krem do Rąk** — Doskonałe nocne leczenie dla rąk. Ma miły efekt bielący i zapewnia rękom gładkość i delikatność. \$1.00

plus podatek

# Helena Rubinstein

Do nabycia we wszystkich większych sklepach

**POTRZEBA  
CZYŚCICIELI . SPRZĄTACZY**  
do dużego budynku biurowego. \$37.00  
wraz z "overtime"  
Zwrócić się do:  
**PANA INGE**  
70 Pine Street  
New York City, N. Y.